

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rub. 7 kop. 2); półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80 miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rub. 2 kop. 50. rocznie rub. 10.
Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Redaktor: Maryan Gawalewicz.

Wydawca: Piotr Laskauer.

Ekspedycja Główna przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 41.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszczu“ po kop. 15 za wiersz potajem lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zhr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zhr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartalnie zhr. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zhr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim u Leitgebera i Spół. kwart. 5 marek.

W jaki sposób należy dzieci hartować?



„Przyzwyczajajcie dziecko wasze do potu i zimna, do wiatru i słońca... oddalcie od niego wszelką miękkość i w ubraniu i w pościeli, w jedzeniu i picciu; niechaj nie wyrasta na ładnego chłopca lub paniczka, lecz niech z niego będzie chłopiec jędrny i silny.“

Montaigne.

Na szczęście wyzbyliśmy się już od dawna przyzwyczajenia, zasadzającego się na „wychowywaniu dzieci w wacie“, obecnie przeważa zdanie, że należy przedewszystkiem starać się, by miały silną i odporną budowę i rozwijać ich przyszłą energię.

Lecz jak dojść do tego? Wychowywać dziecko bez stosowania pewnych ostrożności i bez dozoru jego odzieży i pokarmów, jest innego rodzaju przesadą, której następstwa mogłyby być równie szkodliwymi. Wszyscy rodzice, wszyscy wychowawcy, zechcą niezawodnie artykuł ten przeczytać, zawiera bowiem w sobie wraz z pouczającymi przykładami, ważne wskazówki, mające na celu zapewnienie dziecku zdrowia i siły.

Niemowlę nasze przestało już być niemowlęciem; flaszeczkę jego już odrzucono i małe łóżeczko zastąpiło kołyskę przybraną wstażkami. W wysokim krzeselku ma już swoje miejsce przy stole, przy którym zasiada wraz ze wszystkimi. Przez cały dzień drepce po pokojach, poruszając wszystko, wtrącając się do wszystkiego, z niezamordowaną ciekawością, wygadane, jak srocza. Słowem, jest to już „mały człowiek“ i czas myśleć o jego przyszłości. Co zrobimy z niego?

Przedewszystkiem musi być chłopcem rzeź-

kim i jędrnym, z rozwiniętymi mięskulami i nerwami odpornymi; chłopcem, który umie być stanowczym i w razie potrzeby obronić się, choćby porządnym kułakiem.

Jeżeli od pierwszego dzieciństwa nauczymy go obawiać się wilgoci wieczornej i chłodu porannego, jeśli drzeć będzie przed przeciągiem, unikać wszelkiego wysiłku, dobierać pokarmów z drobiazgową starannością — cóż się z nim stanie w szkole, wśród towarzyszy, i w ogóle w dalszym życiu?

Zachodzi jednak obawa, byśmy nie przebrali miary, pragnąc zahartować istotę ukończoną.

Czyż pod pozorem przyzwyczajania dziecka do zimna, poddamy je zrana natryskowi, pozwolimy przedtem, by drżało przez noc całą pod cienką kołderką? Nie robiąc wyboru w pokarmach, czy nie narazimy go na cierpienie żołądka? Co czynić? Na czym się zasadza miara właściwa? Czy nauka postawiła jakie reguły w tej kwestyi?...

Powiedzmy odrazu, że reguły te istnieją i że odnoszą się wszystkie do jednej, następującej zasady: „Hartować — znaczy przyzwyczajając powolnie i stopniowo.“

Trzymajmy się tej zasady i zastosujemy ją, będzie to sposób wykazania niewłaściwości niektórych środków przechwalonych, a bardzo niebezpiecznych.

Przedewszystkiem należy wiedzieć, że im dziecko jest młodsze, tem mniej ma odporności na zimno.

Przed jakimi pięćdziesięcioma laty, zauważono we Francyi, że dzieci nowonarodzone umierały w większej liczbie w zimie, aniżeli w lecie, i w departamentach północnych częściej, aniżeli południowych. Zkąd pochodziła ta różnica? Prawo, które następnie zniesiono, wymagało, by do zapisu w księdze stanu cywilnego przedstawiano merowi dziecko w ciągu dwudziestu czterech godzin po

narodzeniu. Musiano więc przynosić dziecko do merostwa. Zdarzało się wtedy często, że w drodze lub w zimnych salach merostwa biedactwo zaziębiało się i padało ofiarą bronchitu lub zapalenia płuc. Dla tej samej przyczyny obecnie doktorzy zalecają, by dzieci nie chrzczono w pierwszych dniach po urodzeniu, lecz później, lub też, aby chrzest odbywał się w domu, gdzie dziecko mniej jest narażone na zimno.

Szaleństwem więc byłoby chcieć hartować dziecko na zimno od kolebki, wówczas, gdy ono potrzebuje całego zapasu swego ciepła, ażeby mogło żyć i rozwijać się normalnie. Pokój dobrze ogrzany w czasie zimy, ubranie ciepłe, gdy wyprowadzamy dziecię w dzień chłodny, oto, czego mu potrzeba, oto, co popozwala mu wzrastać i co je może uchronić przed czychającymi nań chorobami. I jeżeli dla czystości kąpać je będziemy codziennie, lub co drugi dzień, kąpiele sporządzane będą letnie, i temperatury ich obniżać nie będziemy.

Zachować dziecku skrupulatnie całą jego ciepłotę, nie zmarnować z niej niepotrzebnie ani cząsteczki, oto jest złota reguła, do której wszystkie matki powinny się zastosowywać.

Lecz zkąd dzieci otrzymują to ciepło?

Często słyzy się porównywanie naszego organizmu do maszyny, dla której paliwo stanowi pokarm. Przez ciąg dziewięciu lub dziesięciu miesięcy dziecię wyrabiało swe ciepło za pomocą mleka, jedyne go pokarmu, jaki mógł trawić jego żołądek, jedyne węgiel, jaki mógł spalać jego delikatny organizm. Powoli ośmielaliśmy się. Pewnego dnia daliśmy mu filiżaneczkę zupy z ryżu lub kukurydzy i próba udała nam się bardzo dobrze. Wtedy dodaliśmy do jego jadłospisu chudy rosół, następnie zupę z chleba i masła, potem znów żółtko z jajka. A ponieważ dziecię trawiło to wszystko doskonale, powiedzieliśmy sobie, że te zachwycające ząbki,

które przy każdym uśmiechu błyszczą się, jak perły, muszą być znudzone swoją bezczynnością. To też maleństwo zdumiało się raz na widok mięsa białego z kureczkiem, które doskonale posiekane, leżało przed nim na talerzyku, wraz z jarzynką zieloną — och, w bardzo małej dozie, a radcę jego była niezrównana, gdy mu dano, po raz pierwszy, jak osobie dorosłej, kawałeczek polędwicy lub kotletu. A gdy pewnego dnia fłaszeczka została umieszczona w szafie, gdzie już spoczywały inne pamiątki rodzinne, dziecię nie spostrzegło tego nawet. W ten sposób zostało odstawione.

Bywają matki, które z obawy mikrobów i innych urojonych niebezpieczeństw, nie przestają karmić swych dzieci mlekiem i rosółem aż do trzech, a nieraz i do czterech lat wieku. Jest to nedorzecznosc i doskonały sposób do sprowadzenia dziecka rozszerzenia żołądka i bezustannej niestrawności.

Łatwo pojąć, że jeżeli dla rocznego dziecka wystarcza na dzień jeden litr mleka, to ta sama ilość nie może być dostateczną dla trzy lub czteroletniego. W tym wieku, jeżeli dalej żywić je będziemy mlekiem i zupami, to już nie jeden, lecz dwa litry musi dziecko wypijać dziennie, a ta wielka ilość mleka w następstwie rozszerzy jego żołądek i wpędzi je w chorobę. Oto jeden przykład, wybrany z setki innych.

„Dwoje dzieci,—opowiada doktor Combe,—chowane były przez matkę, doskonałą karmicielkę. Pierwsze, odstawione w porze właściwej i następnie odżywiane stosownie, miewa się doskonale. Drugie zaś karmione wyłącznie piernikiem, nie dostawało innego pożywienia aż do dwudziestu dwóch miesięcy, zaś po odstawieniu dawano mu jedynie mleko krowie, rosół i ziółka, których wypijało codziennie ogromną ilość. Następstwa tego były bardzo proste. Podczas gdy starszy jest chłopcem krzepkim, drugi ma żołądek rozszerzony, cierpi nań często, miewa ciągle wymioty, poty, obstrukeyę lub dyaryę.“

Doktor Guinon pisze w podobny sposób: „Przyprowadzają mi dziecię blade, wątłe, bez żadnej jędrności, pokryte wszelakimi wyrzutami. Dowiaduję się, że skończywszy już rok, nie dostawało nic, prócz mleka i zupy czy papki, a gdy źle trawiło, zastępowano papkę mlekiem. Natychmiast wyłączyłem prawie zupełnie mleko, poleciłem dawać mięso surowe i dyetę urozmaiconą,— po kilku dniach dziecko nabrało dobrego wyglądu, apetyt mu się zwiększył, i wyrzuty znikły.“

Czy wiecie wreszcie, co się przytrafia temu dziecku pieszczonemu, odżywianemu jedynie mlekiem, papką i rosółem do lat trzech lub czterech? Oto jeżeli przypadkiem nianka da mu biszkopiek, cukierek lub jaki owoc, można być pewnym, że dostanie niestrawności, z którą trudno będzie dojść do ładu.

Zatem dziecię nasze jest już odstawione. Czyż mamy teraz porzucić wszelką ostrożność i pozwolić, by jadło wszystko, co zechce? Bynajmniej. Wszak i niektórzy ludzie dorośli zupełnie nie mogą trawić: kapusty, potrawek, sosów, mięs tłustych, grochu, dziczyzny; tem bardziej nie należy dawać dzieciom tych potraw. Mięso pieczone lub gotowane, drób, jajka, masło, mleko, bułki,

ryż, niektóre jarzyny, kompoty, oto z czego powinien się składać ich jadłospis.

Co do napoju, to do lat pięciu, nie mówiąc o mleku, dzieci powinny pić tylko wodę, nie należy im dawać ani wina, ani piwa. Lecz w niektórych domach znają dla dziecka jeden tylko napój: mleko. Jeżeli ma pragnienie po zupie, dają mu mleka; jeżeli mu się chce pić pomiędzy posiłkami—mleko, w nocy znowu mleko! Dochodzi do tego, że dziecko dostaje przez dzień półtora litra mleka, jako napój. Rodzice, którzy tak postępują, nie wiedzą chyba, że mleko przez swój skład jest właściwie posiłkiem, ponieważ znajdują się w niem substancje białkowe, sole mineralne, tłuszcze.

Dziecko, któremu dają do picia mleko podczas i między posiłkami, jest w położeniu osoby, która je za dużo, a szczególnie która zjada zbyt wiele mięsa. W skutek tego dziecię zaczyna źle trawić, podlega migrenom, występuje mu egzema.

(Dokończenie nastąpi).



Maryan Gawalewicz. ←

J A D.

POWIEŚĆ.



(Ciąg dalszy).

XI.

Od czasu niefortunnej uwagi, zrobionej przez Maman Dobrojewską, co do podobieństwa wnuka z Julkiem, Henryk miewał czoło jeszcze chmurniejsze, niż dotąd, jeszcze więcej zamyślał się i widocznie unikał sypialnego pokoju żony; wchodził do niego jakby z obowiązku tylko troskliwego męża i ojca, ale pod rozmaitemi pozorami wymykał się szybko i starał się ograniczać swoje rozmowy z Misią do krótkich, lakonicznych zapytań o jej zdrowie, o rozporządzenia lekarza, o zwyczajne i obojętne rzeczy, które bieżąca chwila podsuwała obojgu.

Częściej zachodził do pokoju dziecięcego, w którym pod okiem piastunki stała kołyska Henia, zatrzymywał się nad nią i motając wąż na palcu, przyglądał się malcowi badawczo i podejrzliwie zarazem.

Nurtowała go myśl, którą mu tak niezręcznie poddała własna świekra; próbował dopatrzeć się koniecznie choćby zbliżonych rysów, w drobnej twarzyczce dziecka z rysami swego rywala i drażniło go to, że ich sobie dobrze przypomnieć nie mógł w najbardziej charakterystycznych szczegółach.

Pewnego dnia postanowił ukradkiem porównać je przy pomocy fotografii Julka, którą spodziewał się znaleźć w jednym z albumów, leżących w salonie.

Pamiętał dobrze, iż taką fotografię widział swojego czasu, zatkniętą za ogromny wachlarz z zasuszonych kwiatów alpejskich, stojący na etażerze obok fortepianu, ale po-

mimo gorliwego szukania nie mógł jej teraz odnaleźć.

Nie było jej również w żadnym albumie. — Musiała ją zabrać i schować,— pomyślał,— bo chyba nikt z gości nie przywłaszczył sobie takiej cennej pamiątki!...

Nie śmiał jednak zapytać o nią Misi, ani służących, aby się nie zdradzić.

U świekry spodziewał się na pewno natrafić na niejedną nawet fotografię kuzynka, ale się wachał, czy ma o nią osobiście poprosić, czy też niepostrzeżenie zabrać ją przy nadarzonej sposobności.

Wstydział się sam przed sobą tego pomysłu nie mniej paliła go chęć posiadania portretu Julka.

Musił go mieć koniecznie, jak drobiazgowy sędzia śledczy, zbierający skwapliwie materyały do rozjaśnienia tajemniczej sprawy i chociaż wiedział, że ten szczegół niczego mu nie dowiedzie, do żadnych ważniejszych wniosków nie posłuży, postanowił postarać się o niego.

— Przecież to dzieciństwo, to po prostu śmieszne, abym się takim głupstwem przejmował! — mówił sobie, — z tem wszystkim muszę się przekonać, czy jest w tem choć odrobina słuszności.

I wybrał się umyślnie kiedyś do świekry z zamiarem przeszukania i jej albumów; na szczęście, nie zastał pani Peppy w domu i pod pozorem, że zaczeka na nią w salonie, niby dla zabicia czasu, zabrał się do przeglądania wszystkich fotografii, które leżały w ozdobnej skrzynce safianowej i w pekatych, pluszowych teczkach na stoliku.

Roboty miał nie mało, zanim wśród mnóstwa portretów, widoków, zdjęć migawkowych, znalazł wreszcie fotografię Julka, jedną z dawniejszych, ale większego formatu i bardzo wyraźną.

Na odwrotnej stronie odkrył nie widoczny na pierwszy rzut oka napis, szpilką czy jakimś ostrem narzędziem skreślony.

Podszedł do okna i pod światło zdołał odcyfrować trzy zagadkowe wyrazy: „A więc co?...”

— A zawsze interesujący! — mruknął z niechęcią, przypatrując się napisowi, pod którym pozostał ślad zatartej daty i inicjałów Dobrojewskiego.

Byłby dał wiele za to w tej chwili, aby się mógł dowiedzieć, kiedy i w jakich okolicznościach wrytowane było na papierze to zapytanie, które najprawdopodobniej tylko do Misi zwrócone być musiało.

Gnębiły go zawsze te wszystkie półsłówka, półtony, półświatła, te niedociągnięte i urywane rysy, z których wypadało mu odtwarzać sobie przeszłość i stosunek żony z Dobrojewskim.

Nigdy nieczego pewnego, konkretnego, stanowczego,— zawsze wszystko jakby zasłona mgły pokryte, nieuchwytnie, niewyraźne i majaczące bez określonych kształtów, jak wyblakły, spłowiały obraz, na którym tylko barw i figur domyślać się zaledwie można.

W chwili, kiedy się bystrem okiem przyglądał fotografii Julka, usłyszał szelest w przybocznym gabinecie; poczerwienił, drgnął i jak złodziej zehwany na gorą-

eym uczynku, schował szybko w zanadrze portret rywala.

Zmieszany był i zakłopotany tem bardziej, że nie mógł tak łatwo ukryć w kieszeni zbyt dużego formatu karton i obawiał się, aby mu z pod surduta nie wystawał.

Pani Peppa za mało miała zmysłu spostrzegawczego, aby zauważyć od razu niezwykły wyraz w twarzy zięcia; powitała go całą rakieta zapytań i wykrzykników i wciągnęła w rozmowę, podczas której zdołał pochwytać znowu równowagę i zamaskować właściwy cel swoich odwiedzin.

— Więc wyszciecie nas z Misją do Elster czy do Franzensbadu? — pytała z ożywionem zajęciem; — to jeszcze nie zdecydowane, prawda?... Ale to wszystko jedno; i tu, i tam przyjdzie umrzeć z nudów!...

— Pojutrze ma ostatecznie orzeknąć Krąkiewicz, dokąd najlepiej będzie pojechać.

— Wiem, słyszałam, — przerwała mu z westchnieniem; — obawiam się tego ostatecznego wyroku!... Ja już byłam u Krąkiewicza zaproponować mu, czyby nas gdzie do jakich francuzkich wód nie wyeksperymentował, ale powiada, że tu chodzi także o dziecko. To słuszne, niestety!... Henieczka nie można na zbyt daleką podróż narażać, a i Misję, jako rekonwalescentkę także, bo co do mnie, to jabyłam mogła jechać nawet za morze. Ale co tam ja!... mój Boże, byle tylko Miszecie to nie zaszkodziło, tak, tak!... Niech będzie Elster, Franzensbad, czy gdziekolwiek; zamknę oczy, przeżegnam się i pojedę, jak każda dobra matka. A ty?...

— Nie wiem jeszcze.

— Jakto?... nie pojechałbyś z nami?

Taniecki zmarszczył czoło i zwlekał z odpowiedzią.

— Prawdopodobnie będę musiał wpięć zajrzeć, co się na wsi dzieje. Przyrzekłem solennie odwiedzić moją matkę przed podróżą zagranicę, — rzekł; — są tam także jakieś sprawy majątkowe do załatwienia.

— Ależ to niepodobna!...

— Zresztą, doktor utrzymuje, — dodał, ociągając się, — że na pewien czas będzie nawet bardzo dobrze dla Misi, gdy zostanie samą i zajmie się tylko swoją kuracją. Na początek, muszę ją oddać wyłącznie pod opiekę pani... Mama, spodziewam się, zastąpi mnie całkowicie.

Spróbował się uprzejmie uśmiechnąć i podał rękę świeżrze na pożegnanie.

— Czyż matka, nawet najlepsza, potrafi zastąpić kochającego męża! — westchnęła jeszcze raz pani Peppa i melancholijnie przymknęła powieki.

Pokiwała głową i niby wrywając się z chwilowej zadumy, zawołała:

— Ależ w takim razie, ja muszę kazać pakować już kufry!... nawet nie pomyślałam o tem!... To okropność!... potem mi się wszystko na głowę zwali, bo ta biedna Miszeczka przecież niezem zając się nie będzie mogła. Ach, co ja mam z wami kłopotu, moje kochane dzieciętki, co ja mam kłopotu!... Na szczęście, do Franzensbadu ani do Elster, o wielkich toaletach myśleć nie potrzeba, bo inaczej!...

Zchwyciła się za głowę i zadzwoniła na

pannę służącą, aby nie tracąc czasu, wydać jej stosowne polecenia.

Henrykowi spieszo było do domu ze skradzioną fotografią, którą ukrywał na pierśsiach z takim uczuciem, jakgdyby jadownego węża niósł w zanadrzu.

Po powrocie, nie wchodząc wcale do żony, udał się do pokoju dziecięcego, oddalił mamkę pod jakimś błahym pozorem, zamknął drzwi i usiadł przy kolysce śpiącego dziecka.

Oparł głowę na rękę i przypatrywał mu się najprzód długo, uważnie, badał, a potem upewniwszy się, że go nikt nie podgląda, wyjął ukradkiem przyniesioną fotografię i zaczął porównywać kształt czaszki, czoła, oczu i ust swojego jedynaka z dorodną, mężką fizygnomią rywala.

— Ależ to przywidzenie! — mówił sobie dla własnego uspokojenia; — przecież tu niema nawet śladu podobieństwa. Chyba... może w zakroju górnej wargi... jest coś, coś, co przypomina!...

Nachylił się jeszcze bardziej i studyował rysy swego dziecka z takim zajęciem, jakgdyby je miał odtwarzać dłutem rzeźbiarza, ale i z wyrazem niepokoju w oczach, aby jednak nie dopatrzeć się nawet zbliżonej analogii.

Odsunął się i przetarł ręką czoło sfaldowane.

— Zresztą, gdyby nawet tak było, to i cóż?... czegożby to dowodziło?... — zapytywał sam siebie; — mogłoby tylko być podobieństwo familijne, nic więcej.

Zwiesił głowę i wpatrywał się w fotografię Julka.

Powoli twarz jego znowu jednak powlekać się zaczęła posępny cieniem; przyszło mu na myśl, że czytał kiedyś jakąś książkę o dziedziczności, w której opisywane były wypadki zapatrzenia się matek i skutki tego, odbijające się na fizygnomii dzieci.

Uczony autor utrzymywał, iż bardzo silne wrażenia, wyteżone myślenie o jednej i tej samej osobie, wpatrywanie się częste w jakąś twarz wyrazistą, mogą wywołać pewne cechy podobieństwa i rozwijał na ten temat swoje psycho-fizyologiczne twierdzenia, które wówczas wydawały się Henrykowi przesadą i urojeniem.

W dzisiejszem usposobieniu stawał się skłonny uwierzyć temu wszystkiemu i wbrew naocznym faktom, wbrew własnym wnioskom, powziętym przed chwilą, zaczynał się wahać i wątpić o pewności swoich porównań.

— A może jednak to dziecko jest podobne do niego? — szeptał mu jakiś podejrzliwy głos w duszy.

— Dlaczego nie było podobne do swego ojca ani do matki?... czemu przez złośliwą igraszkę natury urodziło się z rysami, przypominającymi właśnie człowieka, którego nienawidził za to, że mu świadomie czy bezwiednie zamącił spokój i zasiał w jego sercu ziarna kłopotu, przygłuszające z czasem najrozkoszniejsze płonki miłosnych uczuć, wiary, zaufania i radości z pozyskanego szczęścia?...

A jeżeli to biedne, niewinne dziecko przyniosło z sobą na świat ukrywaną tajemnicę swej matki, ślady jej duchowego procesu,

który włókił się całymi miesiącami od chwili jego poczęcia na tej drobnej, smutnej twarzyćce?... jeśli ta dziwna, skryta, zamknięta w sobie Misia, jakkolwiek wolna od wszelkiej skazy i podejrzeń wiarołomstwa rzeczywistego, przez jakieś tajemnicze obcowanie duchowe, przez zwracanie się myślą ku temu, który się jej nasuwał nieustannie, który ją kusił, oszałamiał, odcigał swojemi miłosnymi wyznaniem, jeżeli ta Misia najgłębszą istotą swoją należała nie do męża, tylko do towarzysza i przyjaciela lat młodocianych?...

Jeżeli przez cały czas pożycia z mężem od samego dnia ślubu, pomimo wszelkich pozorów i zapewnień, popełniała osobliwą, w swoim rodzaju zdradę, która teraz w materialnych ujawniła się kształtach?...

Taniecki załamał ręce i szklannym wzrokiem patrzył przed siebie.

Samochcąc wydał się znowu na tortury zabójczych refleksji i sam sobie nowe zgutował męczarnie.

— Po co ja o tem wszystkim myślę?... po co ja się truję moralnie? — zadawał sobie zapytania w imię zdrowego rozsądku. — Tak ostra, przerafinowana analiza musi mi zepsuć całe szczęście moje, życie moje, spokój mój!... Czemu nie mam wierzyć i ufać, czemu?... Jakież mam dowody, że jest tak, a nie inaczej?... Dlaczego ciągle wracam do tego, co pokrzywdza ją, mnie i to biedne dziecko nasze?...

Położył sobie rękę na ciemieniu i naciskał nią czaszkę, pod którą czuł jakby wrzątek krwi, zalewającej mu wszystkie zwoje mózgu.

— Co to za męka nie być pewnym, czy się jest kochanym! — myślał — co za męka kochać, podejrzewać i zazdrościć!... zazdrościć? o co właściwie ja jestem zazdrośnym?!

Rzucił się i instynktowym ruchem rozdarł fotografię, trzymaną w rękach.

Zbudzone szelestem dziecko otworzyło oczy i przestraszone kwilić zaczęło.

Taniecki podszedł szybko do kolyski.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Wiem, że nie wrócisz...

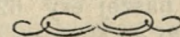


Umarłym kwiatom przyświecać nie będzie
Horyzont gwiazd cudnych z opalu —
Wiem, że nie wrócisz — a szukam cię wszędzie
Oczyma tęsknoty i żalu...

Jak wiza plynę za twym wieszczym duchem,
W niezcichłym poglosie rozpaczy...
Związała nasze dwa życia łańcuchem,
Ta przeszłość, co ogniem się znaczy...

Z pogasłych tęczy przyświecać mi będzie
Jedyna iza — gwiazda z opalu — —
Wiem, że nie wrócisz — a szukam cię wszędzie
Oczyma tęsknoty i żalu...

Liliana.



HISTORIA KOBIETY.

STUDYUM SPOŁECZNE

PRZEZ

Julię Terpińską.



(Ciąg dalszy).

Nadobna dama rycerza, czysta oblubienica Chrystusowa, szlachetna małżonka dostojnika nie mogła mieć żadnej pewności, czy prędzej—później nie przyjdzie dla niej dzień, w którym ogłuszy ją dziki wrzask: „Allah!“, dzień, w którym ze straszliwej zmory krwi i ognia ocknie się w pętach łupieżcy—i utraci wszystko—i stanie się służebnicą i odaliską wstrętnego Turańczyka. Dreszcz zgrozy przejmuje, gdy przypomnieć sobie, ile ich było i jak długo to trwało... gdy pomyśleć o tych wszystkich niewinnych panienkach, o tych wiernych żonach, matkach niemowląt, których krocie,—których miliony—ze wszystkich sfer, ze wszystkich stanów, przez wieki całe, szło na pastwę brutalstwa i zmysłowości wyznawców Mahometa...

Ta jedna z najczarniejszych kart w historii kobiecej niedoli, byłaby znacznie mniej czarna, gdyby nie moc zastarzałego przesądu, który koniecznie chciał i nieodwołalnie postanowił, aby kobieta była słabą i bezbronną. W skutku tego przesądu nikomu na myśl nie przychodziło, że kobiety mogłyby jednak przeciwstawić napaści nie lzy tylko i jęki jedynie, że w czasach, w których dla każdej z nich było możebnem znalezienie się bez męskiej opieki wobec zwycięzkiego łupieżcy, każda też powinna była mieć możność samoobrony, dlatego wszak potrzeba było tylko hartowniej chować dziewczęta, tylko wyzyskać ich naturalną zręczność, wyuczając je umiejętnie obchodzić się z bronią. Nie każda naturalnie zdołałaby się obronić, ale ileż byłoby takich, którym udałoby się—zwłaszcza zebranych w znaczniejszej liczbie—przetrzymać napad aż do nadejścia pomocy albo zniechęcić napastników trudnością zdobycia nie dającego się brać łupu, albo chociaż nie dopuścić do tego, co było najgorszem, to jest, aby być wzięte żywcem. Ale moc przesądu jest równie silna, jak ślepa. Mężczyźni sami, ci mężczyźni, którzy życie dawali za wstążkę swej damy, popychali ją własnymi rękoma w pęta niewoli, w przepaść hańby, bo gotowi zawsze bronić z bohaterkiem mężstwem słabości niewieściej, wymagali nieodzownie, aby ta słabość pozostała zawsze bezbronną, i święcie wierzyli, że kobiecie bronić samej czci swojej ostrzem miecza żadną miarą „nie wypada...“ I cóż tu mówić o dzisiejszych nonsensach konwenansu? Czem one w porównaniu?

Aby nam się skreślona powyżej sytuacja europejskich kobiet w stosunku do muzułmańskiej przemocy nie wydawała przesadzoną, musimy sobie pokrótce przywieść na pamięć dzieje potęgi Islamu w tysiącletnim zakresie jej trwania—od Mahometa do Sobieskiego.

Gdy w roku naszej ery 622-im Mahomet, uszedłszy z Mekki do Medyny (hegira), wszczął stronnictwą walkę, której wynik zrobił go je-

dynowładczą Arabistanu, w Europie odbywały się ruchy wielkiej wędrówki, wylaniały się z nich państwa nowożytnie, upadała starożytna potęga—i nikomu o tem się nie śniło, że w pustkowiach Hedżasu wzrasta hydra której ramiona, rozpełzła po całej Azji, dosięgną kiedyś aż do wnętrza Europy. I któżby mógł odgadnąć, że ta potęga będzie kiedyś równie groźnie i szeroko rozpostartą, jak było dogorywające imperyum światowładne? że stanie się tem samem dla ludów Wschodu, czem Roma była dla narodów Zachodu, i nie dosyć na tem—że ostatecznie pochłonie pozostałą połowę cesarstwa Rzymskiego i z wyżyn bizantyjskiego tronu zagrozi nowożytnemu światu?

Zaledwo Mahomet rozbudził w duszach swoich wyznawców pożar chciwości i pychy, fanatyzmem rozniecony i podsycany, wnet ten najsilniejszy z ujemnych motorów ludzkiej działalności pchnął Islamitów do zaborczej walki, zaciętej, wytrwałej—i stale zwycięzkiej. Już przed końcem VII-go wieku zastępcy proroka—kalifowie arabscy—panowali nad Syryą i Palestyną, nad Persyą i Egiptem. W następnym wieku muzułmańscy Maurowie z Afryki północnej przerzucają się przez Gibraltar do Europy i podbijają Hiszpanię. Odszczepiają się potem od pierwotnego kalifatu Bagdadzkiego, tworząc nowy Kordowański, i wbrew zakazowi Koranu oddają się umysłowej kulturze; pomimo tego zasadniczej idei muzułmańskiej pozostają wiernymi, i ramionami hydry usiłują wciskać się dalej—za Pireneje.

W Azji tymczasem podupada potęga kalifatu, ale siła, która ją podkopała, przejmuje odeń Islam z jego hasłami—i odtąd, t. j. od XI-go wieku, turkomańskie plemię Seldżuków staje się najgroźniejszym reprezentantem zasady mahometańskiej. Przez następne dwa wieki moc turecka boryka się z chrześcijańską Europą o posiadanie świętej Palestyny, z walki tej wychodzi zwycięzko—i po przez Dardanele poczyna sięgać Wschodniego imperyum. Wkrótce Adrianopol zajęty, ztamtąd po kawalku wchłaniana Słowiańszczyzna naddunajska, nakoniec w połowie XV-go wieku zdobyty Konstantynopol.

Ale rozprzestrzeniając się tak ku Zachodowi, na Wschodzie musi turecka hydra dzielić się władzą z nowym współwiera, z nową zaborczą mocą wieloramiennego Islamu—z tatarskimi Mongołami. W XIII-ym wieku potężny carat Dżengishana rozszerza się na całą prawie Azyę środkową, dosięga Indostanu i obejmuje Chiny, nakoniec straszliwą stopą przestępuje łańcuch Uralski i krwawe gniazdo uwiwszy na piersiach nieszczęsnej Rusi, ztamtąd nieustannie hordy swe rozpuszcza po krainach wschodniej Europy, podczas gdy carogrodscy współwiercy pustoszą kraje zachodnio-południowe. Niejednokrotnie pierwsi i drudzy sprzymierzają się z sobą, i jednomyślnością zespoleni, wspólnem hasłem parci, ujmują gaurów w dwustronne kleszcze, w których Europie kości trzeszczą.

Tak dobiega kresu lat tysięcy; termin, który zdaje się być tem dla bytu mocarstw, czem sto lat dla ludzkiego życia. Symptomy zgrzybiałości poczynają się ujawniać w przeżyciu cielsku Islamu. Już tatarskie chanaty,

dawnej dzikiej energii pozbawione, okupują senny spokój poddając się jedne po drugich tym, którzy niedawno jeszcze jarzmo ich dźwigali—Moskwa z ich niewolnicy staje się ich panią. A Porta Ottomańska, na pozór tak jeszcze groźna, już stoi na glinianych nogach, już przepych, zbytek, użycie i nadużycie, wlokąc za sobą miękką gnuśność i ociężałe niedołęztwo, przygotowują kolosowi ruinę. Jeszcze raz porwał się stary lew azjatycki ze swego legowiska, wyszczerzając kły przytępione na łup olbrzymi: krociowe zastępy muzułmańskie opasały najpierwszą wówczas europejską stolicę. Skok był ryzykowny—i przyspieszył złamanie karku. Przesławna odsiecz Wiedeńska, dowodzona przez Jana III-go, który już od lat dziesiątka ciąglemi zwycięztwami podkopywał tureckie siły, skruszyła ostatecznie buńczuk z półksiężcem. Owoc heroicznym bojom Sobieskiego—traktat Karłowicki, w parę lat po jego śmierci między cesarzem a sułtanem zawarty—dokonał dzieła. Odtąd rozpoczęła się dla Porty epoka stopniowego utracania dawnych swoich nabytków—i odtąd już żaden han, żaden basha nie osmiał się rozpuszczać hord łupieżczych po europejskich krajach, dla wybierania z nich haniebnego haraczu z żon i córek wolnych obywateli cywilizowanego świata.

(Ciąg dalszy nastąpi).



PSYCHOLOGIA MODY.

Z niemieckiego podług W. Fred'a.

(Z cyklu głośnego dzieła „Sztuka“, wydawanego przez Ryszarda Muther'a).



X.

Abdykacja stylu na rzecz pomysłów krawieckich.—Pierwsze Cesarstwo jest zarazem ostatnim stylem.—Jakie zwyczaje w świecie Mody utrwalilo drugie Cesarstwo?—Psychologia mody staje się coraz płytszą.—Rozpopularyzowanie żurnali mód.—Trochę wspomnień tiuleryjskich, dowodzących obniżenia się psychologii Mody, a rozwielenienia zmysłu naśladownictwa.—Pomimo kataklizmu drugiego Cesarstwa, moda i dobry smak pozostały w dawnej swej stolicy.—Potrzeba ducha, tęsknota za czemś nieznanem, wytworzyły ostatnie modne kaprysy, które już mijają.—Sztuczność tych dążeń.—Nieokreślony charakter nowego stulecia.

Jak już raz napomknęliśmy, od czasu, kiedy Moda coraz więcej się rozpowszechnia, generalizuje, ogarnia massy—tem bardziej pozbywa się stylowości, abdykując na rzecz „znakomitych krawców“, mających śliczne pomysły, których trwałość jednak mierzy się co najwyżej na miesiące. Po stylu „Empire“—styl ten odnosi się wyłącznie do *pierwszego* Cesarstwa—i kilku jego odmian czy odrośli późniejszych, trwających mniej więcej do połowy czwartego dziesięciolecia XIX-go wieku, nie wytworzyło się właściwie nic, coby nazwać można stylem, w istotnem znaczeniu tego słowa. Czasy ostatniego króla Francji, Ludwika Filipa, są, zwłaszcza na polu umebłowania, lichą degeneracją stylu „Empire.“

Drugie Cesarstwo posiada rozmaite kroje, niższe i wyższe „talje“, wycięcia—nawet przez

pewien czas krynolinę, nieprawe dziecko „zopfowej“ rogówki, ale stylu nie wytwarza. Wszystko to jest tylko przeróżnym i modnym „fasonem.“ Natomiast utrwała drugie Cesarstwo niektóre naleciałości z lat dawnych. Kusego fraka nie nosi się już na ulicę, jak to bywało jeszcze za czasów Restauracyi, nie mówiąc już o epoce Ludwików, ale zaczyna on być, jako ostatni zabytek „Zopfu,“ strojem (*l'habit*) wieczorowym i oficjalnym dla brzydkiej połowy rodzaju ludzkiego. Jego krój, wycięcie, poły i t. d., zmieniać się mogą co sezon; znaczenie pozostaje już, od mniej więcej pół wieku, niezmiennem. Różnice kroju zależą już niepodzielnie od woli ton nadających krawców. Jedynym motywem tych różnic jest poprostu zysk krawca... Z nim razem utrwała się też podobnie bezcelowa kariatura, jakim jest niezaprzeczenie wysoki kapelusz, pospolicie „cylindrem“ (*chapeau haut de forme*) zwany. I jego krój, wysokość, szerokość ronda i t. d., ulegają coraz to innym wymaganiom. Gdybyśmy jednak i w tym wypadku psychologię mód tych, czyli zmian zbadać zamierzali, to nie sięga ona dalej i głębiej, jak do motywu, przytoczonego powyżej z powodu zmiany kroju fraka, czyli poprostu dlatego, że nie tylko krawcy, ale i kapelusznicy chcą żyć, a żyją tem lepiej, im częstsze obmyślą zmiany dla swych „kreacyi...“ To wszystko przeważnie utrzymuje się w kolorze czarnym. Od czasu do czasu bywają wyjątki od tej zasady. Ale frak kolorowy, t. j. niebieski lub czerwony, przetrwał jeszcze tylko na polowaniach *par force*, w Anglii przeważnie.

W salonie ta kolorowość pojawia się chwilowo jedynie, jako przemijający kaprys, którego psychologię tylko eklektyzmem współczesnej epoki wytłómaczyć można, jako wspomnienie (Niemcy nazywają to sentymentalnie: *tesknota* — *Sehnsucht*) minionych bezpowrotnie czasów. Zajrzawszy za kulisy Mody, przekonaliśmy się, że i w tym razie przewodnim motywem owych wspomnień, czy „tesknoty“ za dołą minioną, jest — modny krawiec, ratujący się w braku nowego pomysłu, odświeżaniem starzyzny, jednakże pod warunkiem, że będzie uszyta z nowego materiału.. Bo nie należy się ludzi: im bliżej jesteśmy współczesnej mody, tem psychologia jej staje się płytszą, właściwie mówiąc, tem bardziej brak jej psychologii. Zanika, wraz ze stylem.

Utrwaliło jeszcze drugie Cesarstwo zwyczaj — nie modę, że, podobnie jak z jednej strony frak staje się wieczorowo-oficjalnym *habit*, tak z drugiej, tę samą rolę gra stanik wycięty dla piękniejszej połowy rodzaju ludzkiego. Tu znów oczywiście tysiączne, a zawsze sezonowe, bywają zwyczaju tego odmiany; zasada pozostała od pół wieku niezmienną. Władza jej przenika coraz dalej wszystkie warstwy społeczne. Ostatnia Rzeczpospolita nie zniosła jej panowania, jak niegdyś pierwsza stała się zagładą, nie tylko dla *ancien régime*, ale i dla zdobiących go peruk, warkoczyków, żabotów i pudru... Wycięty stanik... ze wszystkim od stóp do głów, co do niego należy!... Ileż jego faz, odmian, krojów i t. p., widziało choćby jedno tylko pokolenie, nie mówiąc już o przeszłym, już wymie-

rającem, które było świadkiem narodzin się tego utrwalonego do dziś zwyczaju.

Streszcza się w nim, jeśli nie koniecznie psychologia mody, to pod wielu względami psychologia kobiety. Pierwszy stanik, tym właśnie krojem, oznacza wejście w świat, rozpoczęcie życia. Ostatni jest zarazem zejściem z pola, abdykacją z wdzięków, pożegnaniem życia.

Od chwili, kiedy znaczenie jego zostało absolutnie i celowo określone, przeszedł przez tyle odmian, że chcąc mówić o nich, odbieglibyśmy od przedmiotu; nie mówilibyśmy już o Modzie, ale o modach. Pod tym względem jedynie kompetentnym źródłem są rozpowszechniające się z roku na rok coraz liczniej „żurnale mód,“ które stały się zarazem jedynym z najpoczytniejszych działów piśmiennictwa. Ich rozwielenie i rozpularyzowanie zaczyna się również od czasów drugiego Cesarstwa przeważnie. Przyczyniła się do tego w znacznej części i ta okoliczność, że sztuka reprodukcyjna i rozmaite wynalazki w tym kierunku czynią te rzeczy coraz przystępniejszymi dla coraz szerszego ogółu.

Jeszcze jedno ustaliło drugie Cesarstwo: władzę Francji nad Modą. Było to i dawniej, ale nie do tego stopnia. Anglomania dotychczas przeważnie mód męskich; poszukawszy zaś głębiej, to i w tym wypadku prawdziwe źródło zanglizowanych krojów znalazłoby się — w Paryżu. Sadzący się na elegancję, na imponowanie światu, błyskotliwy dwór drugiego Cesarstwa, jego sezonowość, urozmaicająca pomysły Mody, zmieniając ją na zimę w Tiuleryach, na lato w Fontainebleau, jesienią w Biarritz, był zarazem dumny z tego, że stał się celem i punktem środkowym wszechświata. Mania naśladownictwa, najpotężniejszy sprzymierzeniec Mody, najłatwiej tłómacząca jej psychologię, na zmienności opartą, czerpała coraz to nowe natchnienie w niewysychającym nigdy źródle przeróżnych pomysłów.

Zmysł ten naśladownictwa nie pyta wcale, jakim był motyw sezonowego natchnienia. Wystarcza mu zupełnie sama okoliczność, że tak jest. Dowodem dwa fakty wśród wielu innych, z tej właśnie epoki. Kiedy miał przyjść na świat tak długo oczekiwany następca starzejącego się już Napoleona III-go, a pragnąca pomimo to błyszczeć jego małżonka, nie chciała jednak za nic w świecie ukazać zmiany swej figury — wtedy, dla zakrycia tego stanu, obmyślono właśnie krynolinę. I oto taka okoliczność stała się wszechświatowym motywem, że tysiące, miliony kobiet zaczęły naśladować z dobrej woli to, co obmyślono z potrzeby, dla kaprysu jednej, ale uważanej za wyrocznię Mody. Manja, w tym wypadku choroba raczej naśladownicza, nie może już iść dalej, ani doprowadzić do większego absurdu!...

Inny przykład. Przez pewien czas utrzymywał się modny zwyczaj mnóstwa wstążek, wstążeczek, kokard i t. d., strzępiących toalety damskie. Samo się przez się rozumie, że i ta moda wzięła początek w pałacu Tiuleryjskim. W następstwie wpływało to nader ożywczo na przemysł fabryczny, mający jakikolwiek związek ze wstążkami. Ale moda przeszła. Fabryki posiadały milionowe zapa-

sy, bez nadziei zbytu. Wówczas fabrykanci, zagrożeni ruiną, wysłali deputację do cesarzowej Eugenii, błagając o ratunek.

W odpowiedzi na to, ukazała się nazajutrz wieczorem cesarzowa w toalecie z taką masą wstążek, że niebawem fabryki nie mogły sprostać zamówieniom, a ceny wstążek wzrosły do bajecznej cyfry.

Trzeba przyznać, że psychologia Mody, na takich przykładach oparta, głębokością motywu zbytnio się nie odznacza. A chcąc być szczerym, przyznać w dalszym ciągu należy, że od czasu właśnie, kiedy w świecie Mody panuje tylko sezonowość i eklektyzm wszelakiego rodzaju, przyczyny zmian w niej prawie nigdy głębiej szukać nie można. Jest to może niepoehlebne dla tej właśnie psychologii, ale trudno! jest prawdziwe.

Upadek drugiego Cesarstwa, upadek tak smutny, nie zmienił biegu prądu tego szerokiego potoku, rozszerzającego się coraz bardziej, jakim płynie Moda i jej przeróżne pomysły na cały świat. Paryż pozostał jej źródłem, co należy przypisać nie tylko przyzwyczajeniu i sile tradycyi, ale i temu zarazem, że dobry smak nie skierował się np. w stronę Berlina, wraz z miliardami kontrybucyi wojennej, zapłaconej Niemcom, po kataklizmie drugiego Cesarstwa. Świadczy o tem między innymi i „Kolumna zwycięstwa,“ umieszczona na pamiątkę tych zwycięstw i tych miliardów — tak bardzo brzydka, tak błędnie specająca Zwierzyniec berliński, że już ona sama tłómaczy i uniewinnia Niemców, że dotąd, jak dawniej, chcąc jako tako swą przyrodzoną *Plumpheit* zamaskować, naśladowują podbitego wroga. O innych urzędowych pomnikach w stolicy militarysty lub gmachach, powstałych pod wpływem równie urzędowych natchnień, zamilczmy lepiej.

Tradycya Francji i Paryża — cokolwiekby Francji, zwłaszcza najnowszej i Paryżowi zarzucić można — trwa tak dalece, że nawet chorobliwe fantazy, dziwaczne manje, groteskowe pomysły rodzą się tam i ztamtąd zapładniają w dalszych skutkach najróżnorodniejszych naśladowców. Mamy tu na myśli: modernizm, preraphaelizm, dekadentyzm, secesyjnizm i wszelkie „izmy,“ jakie się wytworzyły przed dziesięciu — może piętnastu laty. Z literatury i sztuki przeszły do umeblowania, ztąd do architektury, a równocześnie ukazały się i w świecie Mody. Nawet przyznać można, że w tej ostatnie były najmniej chore. A wszystko to razem było także modne. U źródła, ztąd powstały, rzeczy te są już dawno *démodés*. U naśladowców kołącą się jeszcze, nas poszczególne wcale nie pominawszy, tem bardziej, ponieważ zmysł naśladownictwa cechuje nas — niestety! — nie tylko co do mody, ale i w dziedzinie sztuki. Moda sama umiała z tego wybrać to, co ładne i zgrabnie zastosować do okoliczności. Więc secesyjno-preraphaelistyczną fryzurę adoptowały przeważnie stylowe główki, odpowiednie charakterem do chwilowego kaprysu.

Cały ten dziwaczny prąd, mglisty nastrój przypisać należy znużeniu, przesytowi, a zarazem dążeniu za czemś nowem. Fantazyja zmęczyła się różnemi przeskokami, które nie zadowolili zbiorowych aspiracyi. Klasyccyzm zeszytniał. Romantyzm przebujał i z ostat-

nim swym tytanem, Wiktorem Hugo, przeżył się, jak tytan sam po trochu. Realizm przeszedł w niesmaczny naturalizm. Zrodziła się na tem rumowisku tęsknota, wywołana przyrodzoną potrzebą ducha, który pragnie ożywić się, a przynajmniej oszołomić czemś nieznanem. Przenierwowanie dokonało reszty.

Zdaje się, że wiek ubiegły, od początku do końca czynił wszelkie możliwe wysiłki, aby system nerwowy coraz bardziej podniecać, aż w końcu wytworzył całe pokolenie zdenerwowanych. Szalona zmienność Mody, jej sezonowa błyskotliwość, przerzucanie się od wspomnień jednego stylu do drugiego, następnie do zupełnej bezstylowości, jest psychologizmem tego zdenerwowania epoki doskonałym odbiciem, wiernym obrazem. I ona, wraz z „mocarzami ducha,” pragnęła ożywić się, skąpać w nieodkrytym dotąd źródle odmładzającym, powrócić mającym świeżość, oryginalność i mnóstwo innych ślicznych rzeczy. Ale wszystkie te dążności były sztuczne. Nowego stylu w sztuce, nowych światów w literaturze, nie stworzy się dla tego jedynie, ponieważ zdenerwowana generacja tego pragnie, i to pragnie dla tego przeważnie, aby się tym sposobem jeszcze bardziej podniecić. Więc zamiast tego, popadnięto mimowoli w tem większe naśladownictwo; wszystkie te groteskowości bowiem nie są niczem innym, tylko dalszym ciągiem eklektyzmu, świeżym jego objawem, bardzo chorobliwym, niekiedy nawet strasznie rozczochranym,—ale nowym stylem w istotnym znaczeniu tego pojęcia nie są, bo nim na tej drodze być nie mogą. Mówiąc językiem Mody, to nie był ani nowy fason, ani nawet materyał; to była przeróbka, a jako taka nie nosiła nawet marki pierwszorzędnej firmy.

Na to, by to uważać za rzecz zupełnie oryginalną, na to trzeba być „snobem.” Bo snobizm jest także modnym wytworem tego, co się jeszcze przed kilku laty nazywało: *fin de siècle*, a co częściowo dochowało się do dziś, jako znamię początku stulecia, którego zbiorowy charakter nie tylko nie miał dotąd czasu zarysować się, ale nawet przeczuć go jeszcze niepodobna.

Dotychczas, nie wyłączając Mody, żyjemy jeszcze pozostałościami zeszłego stulecia, uzupełniając tak samo jego genialne wynalazki, jak różnorodne kaprysy.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Marya Łopuszańska.

OBRAZY

Z PRZESZŁOŚCI NIEWIAST.



(Ciąg dalszy).

Sicharbaal powrócił do domu smutny i zmartwiony. Z żony swej Derketo, niemilej i niekochanej, miał tylko same córki; ale ulubiona niewolnica, Afra, obdarzyła go synem, którego kochał bardzo i pragnął uczynić spadkobiercą swego imienia. Derketo zazdrościła

i nienawidziła Afrę za to. Sicharbaal pewien był, że ona to doniosła suffetom o jego podstępnie w celu ocalenia syna. Teraz nie było rady; musiał oddać dziecko na opiekę Molochowi.

— Dlaczego pan mój smutny? — spytała Afra, spostrzegłszy chmurę na jego czole. — Spójrz tylko, jak mały Abibaal jest dziś wesoły i piękny... Czyż go nie przywołasz do siebie?

Sicharbaal odwrócił oczy, nie mogąc patrzeć na dziecko, które dziś było wesołe więcej, niż kiedy i odznaczało się nadzwyczajnym wdziękiem w każdym poruszeniu.

— Nie, nie powiem jej tego! — rzekł do siebie. — Po co mam jej sprawiać boleść przedwczesną. Niech nie wie o niczem do jutra, mniej będzie cierpiała...

Noc nadeszła. Afra ułożywszy do snu swego jedynaka, siedziała jeszcze przy nim wpatrując się w uszione rysy, które nigdy nie wydały jej się tak piękne, jak dziś. Księżyc świecił jasno, mogła więc patrzeć na dziecko bez przeszkody.

Zaczęła myśleć i zastanawiać się nad tem, dla czego pan jej dziś był tak smutnym i milczącym, dla czego nie odpowiadał na jej troskliwe pytania—czemu nie obdarzył pieczęcią ani jej, ani dziecka?..

Była niewolnicą, którą jeden wszechwładny kaprys jej pana mógł stracić z pysznego pałacu do rzędu pospolitych dziewczek, obracających żarna i dzwigających wodę od studni— a jednak... a jednak nie zamieniłaby swego losu na los Derketo, lub chociażby nawet żony którego z suffetów, bo szczęście płynące z macierzyństwa starczyło jej za wszystko. Nie ludziła się jednak co do losu, który ją czeka w przyszłości. Oto gdy krasa jej zniknie i zmarszczki pokryją twarz zwiędłą, wówczas przestanie być ulubienicą swego pana. Może przez wdzięczność za to, że go obdarzyła synem nie przeznaczy jej do ciężkich robót służebnych, ani nie sprzeda innemu panu, ale udzieli jej przytułku pod swym dachem aż do śmierci. Ale cóż ją obchodzi starość i opuszczenie, które wraz z nią przyjdzie? Jej syn przecież będzie opływał we wszystko, będzie możliwym, będzie miał pierwszeństwo przed dziećmi Derketo, która jej tak nienawidzi. Ona, biedna niewolnica, kupiona na targu, może z góry spoglądać dziś na prawą małżonkę, która nie dała mężowi dotychczas syna... Wyobrażała sobie swoje dziecko, gdy dorosnie i będzie rozkazywało tłumom niewolników, a ona, patrząc z ukrycia, rozpląwać się będzie z radości i dumy...

Tak marzyła Afra, aż wreszcie sen ją ogarnął: padła na łożo i usnęła twardo.

Nagle po północy zbudził ją jakiś szmer... Podniosła się na łokciu, spojrzała ku drzwiom i zdało jej się, że zasłona, która je zakrywała, poruszyła się, jakgdyby ktoś tylko co wyszedł z komnaty. Tknięta jakimś złowrogim przecuciem, skoczyła z łoża i pobiegła do posłania, na którym spało dziecko... było ono puste!!

Straszny, dziki krzyk wydarł się z gardła Afry i rozległ się echem po całym pałacu...

W domu senatora Astarima panowała również żaloba, najstarszy bowiem syn jego,

Itubaal, należał do owych trzydziestu młodzieńców, którzy dobrowolnie oddali się na ofiarę Molochowi. Matka jego pyszniła się nim zawsze niezmiernie, bo był pięknym, roslym i silnym, czekała go kiedyś potęga i bogactwo, odziedziczone po ojcu, najbogatszym kupcu Kartei, którego statki handlowe były niezliczone, a letni pałac w okolicach miasta zaliczonym był do najwspanialszych siedzib, jakie sobie wymarzyć można. Żona Astarima, gdy szła do świątyni w towarzystwie córek, wyglądała, jak istna królowa, bo była piękną jeszcze, a szaty jej i głowa lśniły od klejnotów przeróżnych. To też dumną była i uważała, że niema kobiety szczęśliwszej i godniejszej poważania ze strony innych ludzi, niż ona. Chodziła zawsze z głową podniesioną, niewolnicy rozpedzali tłum przed jej lektyką, dnie całe trawiła na haftowaniu złotem delikatnych tkanin, albo też na leżeniu na miękkich poduszkach — i ubóstwiała swoich synów, którzy przyszedłszy na świat, dali jej owo wysokie stanowisko, budzące taką zazdrość w innych niewiastach...

Dziś ta dumna kobieta z głową posypaną popiołem tarzała się w prochu, zdzierając z siebie klejnoty i kosztowne tkaniny. Nie śmiała jednak wyrzekać głośno, by nie obrazić Molocha, — doznawała tylko uczucia, jak gdyby kto rozpalonemi kleszczami wyrwał z niej wszystkie wnętrzności...

Nad wieczorem pod oknami pałacu Astarida rozległy się flety, piszczałki, bębny—to pochód młodzieńców, przeznaczonych na ofiarę, zbliżał się uroczyście... Itubaal, odziany w najpiękniejsze szaty, z włosami skropionymi wonnym, drogocennym, olejkiem, błądł, a jednak spokojny i dziwnie piękny, wyrwał się z objęć rodziców, sióstr i braci, mówiąc: „Już czas!...”

Usłyszawszy to matka, z twarzą straszliwie wykrzywioną chwyciła się obiema rękoma za włosy i wykrzyknęła:

— Chwała ci bądź, o Molochu, który karmisz się płodem łon naszych!... Wyrzekłszy to, padła na ziemię, jak martwa...

Nad samem morzem, w dzielnicy zamieszkałej przez ludność rzemieślniczą wznosił się niewielki domek o płaskim dachu; mieszkał w nim złotnik Pygmalion wraz z żoną i dzieckiem. Należał on do „nowych ludzi:” zatrudniał się wyrobem pięknych złotych i srebrnych czar, które bogaci mieszkańcy Kartei kupowali chętnie. Żona jego, Kalmi-na, pochodziła z sąsiedniej Numancyi, owego iberyjskiego grodu, którego mieszkańcy słynęli zawsze z mężstwa i zamięłowania niepodległości. Niepodobna też była do kobiet kartagińskich, wypieszczonych w zbytku i pełnych miękkości; rosła, silna, o licu śniadem, oku czarnem, błyszczącym jakimś dzikim ogniem, przypominała owe niewiasty iberyjskie, które potrafiły walczyć i ginąć za wolność obok mężów i braci. Pygmalion i Kalmi-na mieli tylko jedno dziecko, syna Hirama, którego oboje kochali namiętnie. Dziecko to było wątłe i drobne; wiele trosk i kłopotów sprawiło matce swoim słabym zdrowiem, ale za to zdolnym było nadzwyczaj. Kiedy ojciec zajęty był robotą, chłopiec godzinami całymi przypatrywał się mu, śledząc każde

poruszenie ręki; Pigmalion też twierdził, że syn odziedziczył napewno po nim talent do złotnictwa, z którego cały ród jego sływał.

Po owych nocnych rozprawach w senacie, nastał słoneczny ranek. Miasto budziło się, nie wiedząc o strasznym wyroku, jaki zapadł na tyle rodzin. Pygmalion zabrał się do roboty przy drzwiach otwartych, przez które wchodziło trochę świeżości od morza; Kalmina krzątała się koło domu; mały Hiram bawił się w piasku... Nagle od miasta doleciał jakiś przeciągły jęk, zdający się pochodzić z kilkuset piersi. Oboje małżonkowie poczęli nasłuchiwać z bijącym sercem. Wreszcie ujrżeli dwóch kapłanów Molocha w towarzystwie uzbrojonej straży i całej gromady dzieci powiązanych. Za nimi biegł tłum kobiet z ludu z rozwianym włosiem, wyjących, jak jak wilezyce w górach iberyjskich. Straże odpadzały je i odpychały, lecz one biegły wciąż, wyjąc i szarpiąc na sobie odzież i włosy...

Kalmina ujrzawszy to, porwała dziecko na ręce i chciała z niem uciekać. Wbiegła do izby i zatrzasnęła za sobą drzwi, tymczasem Pygmalion wyszedł naprzeciwko zbliżającym się kapłanom, tak, jak był przy robocie, jeszcze przepasany skórzanym fartuchem.

— Czego żądacie?— spytał, bladym ze wzruszenia.

Starszy z kapłanów wydobywszy z za rękawa listę, na której wypisane były nazwiska ofiar i ich rodzin, rzekł:

— Przyszliśmy do ciebie, Pygmalionie, abyś z rozkazu prześwietnych suffetów oraz senatu oddał swojego syna na ofiarę Molochowi, którego gniew należy koniecznie przebłagać...

Pygmalion, usłyszawszy te słowa, zaczął szybko poruszać powiekami; jak człowiek, który nie może znieść gwałtownego światła; wreszcie wybełkotał:

— Mojego syna?... Ależ ja go mam tylko jednego... Zlitujcie się wspaniali słudzy Molocha... mam tylko jednego... jednego!... Ale kapłani nie słuchali. Starszy zapytał:— Gdzież on jest?

— Nie wiem panie... nie wiem... — bełkotał Pygmalion nieprzytomnie.— Był tu przed chwilą... moje dziecko...

— Pamiętaj, jeśliś go ukrył, sroga kara cię czeka,— rzekł starszy kapłan.— Moloch spali ogniem niebieskim całe miasto.

— Nie ukryłem go panie,— odrzekł Pigmalion głosem złamanym.

— Obaczmy zaraz— odrzekli kapłani i rozkazali strażom otworzyć drzwi od izby. Były one z wewnątrz zatarasowane, lecz strażę wkrótce je wybiły. Wówczas ujrżeli Kalminę, stojącą w pośrodku izby z toporem w dłoni.

— Kalmino! — zawołał Pygmalion z rozpaczą, — na nic się nie zda opór, oni zabiorą Hiram!

— Ja go nie oddam! — odparła Kalmina zimno. Oczy jej świeciły strasznie; głos był ochryply, jak gdyby obey.

— Gdzie dziecko? — spytał kapłan.— Oddaj go nam, bo taki jest rozkaz suffetów i senatu...

— Nie oddam,— wpierw mnie zabijcie!...

Kapłan skinął na straż, ta przysunęła się bliżej ze stron obu i choć Kalmina broniła się, jak lwica, i jednego nawet zraniła, je-

dnakże wydarto jej wkrótce topór z dłoni i pochwycono silnie za ramiona. W walce tej i szamotaniu czarne jej włosy rozpuściły się po plecach; oczy świeciły złowrogo, — była straszną i wielką w swoim bólu...

Pygmalion stał oparty o ścianę, nieprzytomny z bóleści, ale gdy wyprowadzono z ukrycia dziecko zaleknione, które patrzyło dokoła siebie szeroko otwartymi oczami, wówczas padł twarzą na ziemię i głowę osłonił rękoma, by nie widzieć i nie słyszeć.

Kalmina, ujrzawszy syna, rzuciła się ku niemu rozpaczliwie, ale ją straż pochwyciła za włosy i zatrzymała.

— Hiram... synu mój... chcą mi cię zabrać! — wołała, wyciągając ręce do dziecka. A zwróciwszy się do kapłanów, poczęła ich błagać:

— Oddajcie mi go! Cóż Molochowi po nim? O, patrzcie, — on taki mały, słaby, — weźcie mnie lepiej na jego miejsce. Kapłani, nie słuchając jej krzyków, uprowadzali drżące dziecko z sobą, aby je przyłączyć do owej gromadki ofiar, którą już zebrali po drodze. Kalmina wówczas nadludzkim wysiłkiem wyrwała się z rąk straży, wołając:

— Weźcie mnie za niego... weźcie mnie! Moloch nigdy nie miał dzieci, on nie wie, co to jest rodzic, karmić i pielęgnować dziecko wnętrzości naszych! Okrutny jest i zazdrośny o dzieci ludzkie!... Ale mu się sama oddaję w ofierze; niech mnie pożre, a zostawi przy życiu moje dziecko!

A gdy jej nie słuchano, podniosła w górę rękę, zaciśniętą w pięść i poczęła nią wygrażać widniejącemu w oddali miastu, z jego wspaniałymi świątyniami i pałacami:

— O przekłete bądź, które zabierasz dziatki nasze, aby okupić własne grzechy! Niechaj cię morze pochłonie, a ogień spali — niechaj trzęsienie ziemi cię zniweczy! Przekłete, przekłete, przekłete! Zgiń, przepadnij występny grodzie! Zgiń i ty, Kartagino okrutna, która wysysasz krew z ujarzmionych przez cię ludów! Krew dzieckich naszych powstanie kiedyś na zgubę twoją!... Kupcy twoi oszukują, kłamią, sprzeniewierzają się, a za winy ich później płacą nasze dzieci niewinne! I wy sprośni, przekupni kapłani, głusi na łzy matek, bądźcie przeklęci! Przeklętym niech będzie ów Moloch krwiożerczy, który zabiera nam, co mamy najdroższego; pasie się ciałem dzieci naszych! Przeklinam cię Molochu, — niech runie w proch twoja potęga krwawa...

Ostatnie to przekleństwo rzucone w oczy straszliwemu Molochowi, dopełniło miary. Starszy kapłan skinął. Jeden ze straży podszedł, dobył miecza i pewnym cięciem odrąbał głowę nieszczęśliwej, oszalalej z bólu matce...

Wyszli wszyscy, uprowadzając z sobą dziecko i zostawiając napół martwego Pygmaliona obok trupa żony.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Przegląd teatralny.



Popularny utwór dramatyczny: „Pod Okrętem“ S. Kozłowskiego.— Dzieje Starego Miasta.—Historja cechów.—Ich obrządki i obyczaje.— Ciekawy opis.— Tło i idea przewodnia sztuki.— Jej główne postaci.— Piotr Steinkeller.— Zalety dzieła.— Ogólne piętno.— Wystawa i wykonanie.— „Kopciuszek“ Adolfa Walewskiego i „Milusińscy.“

P. Stanisław Kozłowski, który w ostatnich czasach poświęcił swój talent dramatopisar-ski odtwarzaniu na scenie obyczajów Warszawy z pierwszej połowy XIX-go stulecia, wystawił świeżo w Rozmaitościach sztukę, malującą życie Starego Miasta, jego przeszłość i pełną wyrazu fizyognomję, obok znamienitych cech epoki, zamkniętej pomiędzy rokiem 1831-ym a 1850-ym. Sztuka nosi tytuł „Pod Okrętem“ i związana jest z chwilą, kiedy w Warszawie, pod wpływem niezapomnianego Piotra Steinkellera, poczyna się budzić działalność przemysłowa, zakreślona na europejską skalę, i ogarniać coraz szersze warstwy, pchając je w kierunku przedsiębiorczości, rozwoju i postępu.

W sztuce tej przesuwa się przed naszymi oczyma galeryja historycznych miasta Warszawy postaci, które odegrały z pożytkiem swą rolę i pozostawiły po sobie pamięć prawdziwie zasłużonych obywateli. Świat mieszczań-ski, z jego świetnymi typami, zajmuje tu pierwszorzędną rolę i pociąga ku sobie, a obrządki i ceremonje cechowe tworzą najciekawszy i najsympatyczniejszy obraz całego widowiska.

Historji tych cechów p. Kozłowski poświęcił dłuższe studia; ponieważ zaś doniosłość ich po dziś dzień nie zmniejszyła się i jest dotąd aktualną, utalentowany autor powziął szczęśliwą myśl pokazania ogółowi tego dawnego potężnego bractwa rękodzielniczego i kupieckiego, które tak dzielnie zawsze pracowało dla dobra powszechnego.

Warto się przyjrzeć zbliżka tym obrządkom, praktykowanym do końca XVIII-go wieku, a zachowanym jeszcze do r. 1848-go.

Ceremonje te bywały niezwykle świetne, błyszczały pompą i wystawnością przy wyzwolinach terminatorów na t. zw. „towarzyszów“, czyli czeladników, oraz przy obiorze cechmistrza.

P. Kozłowski szczegółowo opisuje te uroczystości cechowe, dając im głębszy podkład społeczno-dziejowy.

Pozwalam sobie na tem miejscu przytoczyć słowa autora, zakomunikowane mi przezeń uprzejmie, a oparte na skutecznionych poprzednio badaniach.

Opis ten, to ustęp z historyi naszej cywilizacji, godny utrwalenia w pamięci.

„Kiedy dla ucznia nadeszła upragniona chwila wyzwolin po kilkoletnim twardym terminie u majstra cechowego, wysłano zazwyczaj nowicyusza do łaźni, „aby się obmył z terminatorstwa“, przywdział świeżą bieliznę i nową odzież, oraz odbył spowiedź przed kapelanem cechu. Potem z majstrem swoim i zrobioną sztuką swojego kunsztu szedł do cechu, gdzie okazywał swą robotę, która uznana za dobrą, wyjednywała dla nowicyusza list wyzwolenia, czyli z niemiecka *lehrbrief*.

Jednocześnie starszy cechu dawał nowicyuszowi przestrogi, jak ma się zachowywać, aby wytrwać w moralności, głównie zaś napominał młodzieńca, aby pod karą chłosty, czyli „bykowego“, unikał miłostek. Następnie nowicyusz przeprowadzony zostawał do ciemnej izby, którą słaby kaganek oświecał, gdzie składał przy różnych mistycznych obrzędach przysięgę. Odbierał od nowicyusza przysięgę tajemniczy człowiek, obleczony w długą czarną szatę, przed którym na stole były złożone: krótki miecz i topór, oraz krucyfiks.

Nowicyusz przysięgał na tajemnicę hasła

i kunsztu swojego, oraz składał uroczysty ślub czystości, poczem ów tajemniczy człowiek nacierał mu czoło pachnącym olejkim, albo zlewał głowę wodą, a po obtarciu całował go w ciemię. Ztąd obrządek ten zwano „pomociem.“

Po tych ceremoniach otrzymywał wyzwoleńiec dyplom na towarzysza czyli czeladnika. Dyplom taki przez długi czas służył towarzyszom za pasport i kartę wstępu podczas obowiązkowych wędrówek za granicę.

Gdy już od wyzwolenia upłynęło dwa tygodnie, zgłaszał się nowicyusz do t. zw. Serwitora czyli Ojca gospody czeladniej swojego kunsztu. Podczas zebrań niedzielnych „towarzyszów“, zatrzymywał serwitor nowicyusza przed drzwiami gospody lub zamykał w specjalnej celi. Na dany znak, nowicyusz pukał w drzwi gospody trzykrotnie, a zapytany, kto jest i czego żąda, miał odpowiedzieć, że uprasza o przyjęcie do grona towarzyszy gospody.

Wtedy otwierano mu drzwi i stawiano na środku izby, a po obejrzeniu dyplomu cechowego i po zapytaniu u towarzyszy, czy zasługuje nowicyusz na przyjęcie do gospody, w razie przychylniej odpowiedzi, witał go szafarz gospody, jako „towarzysza i brata.“ Wówczas ojciec gospody, zazwyczaj majster cechowy, dawał wyzwoleńcowi napomnienia, jak ma się zachowywać względem towarzyszy, jak przestrzegać obrządków religijnych, zwyczajów gospody, tajemnicy hasła, a nade wszystko, jak ma strzedz obyczajności.

Po takiej, zazwyczaj przydługiej przemowie, nowicyusz składał przysięgę, jednocześnie zaś do izby wchodziła panna, tak zwana „córka gospody“, odświętnie ubrana, z wiankiem na głowie i na ukwieconej tacy wносиła puchar cechowy „wilkom“, czyli „witaj“, którym zebrani towarzysze wznosili zdrowie nowicyuszów.

Po pewnym czasie wyzwoleńcy obowiązani byli udawać się na trzechletnią wędrówkę w obce kraje, dla dokładniejszego poznania swojego cechu.

„Towarzysze“, czyli czeladnicy, musieli trwać w celibacie, aż do czasu wpisania się w księgę majstrów. Każdy nowo-kreowany majster miał polecenie, aby w ciągu roku i sześciu niedziel zawarł związki małżeńskie, wybierając sobie pannę z któregośkolwiek cechu lub wdowę za żonę, którą obowiązany był zaprezentować cechmistrzowi. Jeżeli w ciągu tego czasu nie przedstawił swojej narzeczonej, otrzymywał prolongatę, poczem opłacał podatek. To samo dotyczyło się i wdowców.

Wesela cechowe były sute i zwykle trzedniowe. Obowiązkiem było zapraszać na nie majstrów swojego cechu, z żonami i córkami, nie pomijając i wdów, po majstrach pozostających, choćby najuboższych, gdyż cechy stanowiły jakby jedną rodzinę czyli konfraternię.

Obiór cechmistrza odbywał się zazwyczaj z wielką paradą. Na t. zw. „elekcję“ zbierali się majstrowie cechowi na ratuszu miejskim, gdzie w obecności burmistrza i rajców przystępowali do wyboru jedynastu kandydatów na cechmistrza. Kartki z nazwiskami kandydatów wkładano do urny, poczem wprowadzano na salę dziecko, zazwyczaj trzedletnie, które z urny wyciągało kartkę i oddawało ją cechmistrzowi.

Po głośnym odczytaniu nazwiska wybranego, burmistrz wręczał mu srebrną buławę, na znak godności hetmana w cechu, a zebrani pod ratuszem towarzysze witali „elekta“ wystrzałami z muszkietów i odprowadzali z chorągwią cechową, kapelą i pochodniami do mieszkania, gdzie następowało sute przyjęcie.

Jeszcze do końca XVIII-go wieku cechmistrze posiadali wielkie przywileje, byli z urzędu ławnikami miasta, wybierali burmistrzów, rozkładali podatki, sądzili sprawy ce-

chowe, a w razie napadu nieprzyjacielskiego na miasto, dowodzili obroną w swoich basztach.

Od roku 1796-go do 1815-go cechy nasze były w zupełnym uspieniu. Dopiero ustawa rządowa do dziś obowiązująca z r. 1816-go, tchnęła nowe życie w cechy, choć zniosła wszelkie przywileje, a tolerowała tylko dawne obrządki i zwyczaje, z których bardzo wiele zachowało się jeszcze do roku 1848-go.

Dziś o dawnych dobrych czasach zachowuje się w cechach naszych jedynie wspomnienie, choć tradycya zwyczajowa doszczętnie jeszcze nie wygasła. Opierając się na tej tradycyi, odtworzył St. Kozłowski w akcie II-im komedyi swojej „Pod Okrętem“ święto pojednania, t. zw. „fergleichowanie“, czyli przyjęcie wyzwoleńca w poczet towarzyszy gospody czeladniej.

Ten akt drugi w sztuce stanowi jej część najważniejszą i najciekawszą. Znajdziemy w owych scenach odbicie obyczajów pewnej sfery społecznej, o których słyszeliśmy nieraz, ale których nie widzieliśmy na własne oczy nigdy.

W pobliżu tych cechów, „Pod Okrętem“, spotykamy przedstawicieli mieszczaństwa warszawskiego, z panem Fukierem na czele. Ta winiarnia Fukierowska, obok gospody cechowej, tworzy pociągające tło obrazu, uzupełnione barwnym malowidłem salonu referendarza Nałęcza.

Z tego tła, z pośród osób działających, wyłania się dominująca nad otoczeniem powagą działalności obywatelskiej postać Piotra Steinkellera. To bohater główny sztuki, to figura, wyrosła po nad środowisko, w jakim się znajduje. Steinkeller miał w sobie moc ducha niepospolitą i wolę silną. Patrzył w życie bystro, widział wszystkie niedomagania społeczne, umiał stwarzać nowe cele i prowadzić ku nim współobywateli.

Choć praktyce życia poświęcał swą czynność, potrafił wznieść się na taki poziom w swej akcyi, że zakreślał ztąd szerokie widnokręgi. Czyn miał u niego podkład uczucia, które go parło naprzód. A pomysłowość posiadał ogromną: zakłada fabryki żelaza, młyny parowe, urządza żeglugę na Wiśle, projektuje budowę kolei warszawsko-wiedeńskiej, oświetlenie miasta gazem, ba! marzy o zaprowadzeniu wodociągów.

Należy się uznanie p. Kozłowskiemu, że nam Piotra Steinkellera pokazał na scenie, że w 50-tą rocznicę zgonu wielkiego męża, przesunął przed wzrokiem Warszawy portret jej zasłużonego syna.

Fabuła sztuki, wobec głębszych zadań utworu, zehodzi na plan drugi. Oczywiście, interesujemy się losami Kasi, chrześniaczki Fukiera, jej serduszkim wrażliwym i zmiennym, ale w gruncie zacnem i poczciwym, zaciekawia nas współzawodnictwo dwóch rywali — czeladników bednarskich: mieszczanina i szlachcica, w samej jednak rzeczy, bardziej nas zajmuje całość, niż szczegóły.

Epoka sztuki, ferment późniejszych usiłowań i prac, to do nas przedewszystkiem przemawia, to nas pociąga i podbija. My z żywym uczuciem słuchamy tego, co o Steinkellerze wypowiada Nałęcz:

Wiadomo, panie Piotrze, o co panu chodzi,
Pan szukasz pracowników pośród naszej młodzi,
By ją wprzód do warsztatu, jak woły do pluga,
W czem ma obywatelska być twoja zasługa.
Tym końcem, oczywiście zależy ci na tem,
Aby się świat mieszczański z naszym bratał światem.

Na ironię magnata, który przecież u Kozłowskiego ma w duszy poczucie sprawiedliwości, tylko duma rodowa jeszcze mu nie pozwala otworzyć się za postępem oświadczyć, odpowiada Steinkeller:

Wierzmy, że w szlachetnym postąpisz sposobie.
Bo mamy przeciw tobie sprzymierzeńca w tobie.

Dla tych cech zasadniczych, dla idei sztuki „Pod Okrętem“, wdzięczni powinniśmy być autorowi, że ją napisał i dostarczył publiczności kilku chwil zadumy o przeszłości miasta, o ludziach, którzy dla Warszawy pracowali dawniej, o dziadach naszych, oddalających się coraz bardziej w mglistą otchłan czasu.

Tak oceniła, tak przyjęła sztukę myśląca i czująca tradycję Warszawy publiczność nasza, gromadząc się tłumnie w teatrze na dwudziestu bez mała przedstawieniach dotyczących utworu „Pod Okrętem.“ To powodzenie jest najlepszym dowodem zrozumienia sztuki i najlepszą odpowiedzią na wszystkie zarzuty, jakie dzieło sceniczne p. Kozłowskiego spotkały ze strony uprzedzonej, krańcowej i powierzchownej krytyki.

Teatr spełnił swoje zadanie jak najstaranniej. Wystawa sztuki jest pod każdym względem wyborna. Stylowość strojów, dekoracji i przyborów scenicznych nie pozostawia nic do życzenia.

Gra artystów godna jest szczerej pochwały. Grono wykonawców przewodniczył przepyszny w odtworzeniu typu i mistrzowskiej charakterystyki wyrazu, jako Fukier, nieporównany w wyrazie, w geście i słowie — Frenkiel. Ale i innym należy się pochlebna wzmianka, jako to pp. Ludowej, Irenie Trapszo, Bogusławskiej, Ładnowskiemu, Sliwickiemu, Rolandowi, Szobertowi, Wolskiemu i Bednarczykowi, którzy wyglądali portretowo, a grali z przejęciem i rzeczywistym talentem.

Wystawiona w lecie w teatrze Letnim, a przeniesiona obecnie na scenę teatru Wielkiego bajka dramatyczna Adolfa Walewskiego, p. t. „Kopciuszek“, doznała również niezwykłego powodzenia, zdobywając istotną popularność.

Na pierwszym przedstawieniu tej sztuki zdarzył się szczegół, który wyraźnie wróżył dalsze losy utworu.

Z łoży rozległ się szczery, głośny śmiech dziecka rozbawionego i zachwyconego widowiskiem. Po sali przebiegła jakby iskra elektryczna: ten śmiech przejął publiczność miłym uczuciem, doznawanem, ilekroć serdeczny dźwięk głosu dziecięcego zabrzmiał w pobliżu. Sztuce, która takie echo wywołała w sali, można było przepowiedzieć sukces rzeczywisty. Odtąd na „Kopciuszku“ coraz częściej dają się słyszeć śmiechy dziecinne i okłaski drobnych rączek — i będzie tak ciągle, bo „Kopciuszek“ dla zabawy naszych Milusińskich na repertuarze powinien utrzymać się długo.

Adam Dobrowolski.



Przy toalecie.

(Pogawędki z dziedziny mody).



II.

Najnowszą niespodzianką mody jest ta, że niema właściwie określonej mody w obecnej chwili, — że pani ta zazwyczaj tak autokratyczna, popuściła cugle i uśmiecha się pobłażliwie na różne wybryki krawców, szwaczek, fabrykantów i modniarek.

Może się postarzała już, i ztąd ta jej nagła wyrozumiałość, lub też poszła z postępem czasu i dozwala większą swobodę jednostce. Byłby to tryumf niebywały i broń przeciw plci brzydkiej, która się nieraz naigrywała z tego naszego niewolniczego hołdowania najświeższym przemianom owej kapryśnicy, nie biorąc pod uwagę tego, że tak a nie inaczej czynić musimy, aby nie wydać się śmiesznymi.

Oko tak prędko przyzwyczajają się do zmian

Czytajcie „GAZETĘ POLSKĄ”

która już od 1 Grudnia r. 1904-go

podwaja swoją objętość

i zaprowadza takie zmiany wewnętrzne, że ją uczynią niemal zupełnie nowym pismem.

!! Bogactwo treści i oryginalność układu !!

! Tygodniowe Dodatki ilustrowane !

Najlepsze codzienne biuletyny wojenne

wyjaśniające istotny stan rzeczy na teatrze wojny

Cena „Gazety Polskiej”, podwójnie zwiększonej objętości, z dodatkami ilustrowanymi:

w Warszawie:		z przesyłką pocztową:	
rocznie	rb. 9.00	rocznie	rb. 12.00
półrocznie	„ 4.80	półrocznie	„ 6.00
kwartalnie	„ 2.40	kwartalnie	„ 3.00
miesięcznie	„ 0.80		

Adres: Warszawa, Warecka 14.

- Co niedziela : Dodatek świąteczny ilustrowany
- Co poniedziałek: Tygodnik informacyjny dla ziemian
- Co wtorek : Tygodnik korespondencji prowincjonalnych
- Co środa : Tygodnik literacko-bibliograficzny
- Co czwartek : Tygodnik popularno-naukowy
- Co piątek : Tygodnik gospodarstwa domowego
- Co sobota : Tygodnik inform. handlowo-przemysłowy

otrzymują wszyscy prenumeratorzy

GOŃCA PORANNEGO i WIECZORNEGO.

2 razy dziennie najświeższe telegramy i wiadomości
2 razy dziennie wysyła pocztą na prowincję

stał się w ciągu pierwszego roku istnienia najpoczytniejszym i najbardziej rozprzeczonym pismem codziennym polskim.

Nadzwyczaj przystępne warunki prenumeraty.

w Warszawie.

Rocznie	rb. 6 kop. —
Półrocznie	rb. 3 kop. —
Kwartalnie	rb. 1 kop. 50
Miesięcznie	rb. — kop. 50

Za odesłanie do domu mies. kop. 15.

BIESIADA LITERACKA

Biesiada Literacka, najtańsza i najobfitsza ilustracja dla rodzin polskich, zawiera: roczności Kościoła katolickiego. Powieści historyczne i współczesne. Podróże po kraju i obczyźnie. Politykę. Historię polską i powszechną. Wychowanie domowe i publiczne. Sztuki piękne. Chwilę bieżącą. Postęp naukowy. Życiorysy zasłużonych ludzi. Przeglądy pism i książek. Wynalazki najnowsze. Pracę ziemiańską. Herbarz szlacheckich. Pamiętniki. Korespondencję z czytelnikami. Humorystykę. Rebusy. Szarady i inne rozrywki. Mody. Ogłoszenia płatne. W Dziale ilustracyjnym: Chwilę bieżącą, wynalazki, ilustracje do powieści, zabytki przeszłości, portrety, kopie obrazów, mody i t. d.

Spółpracownictwo literackie i artystyczne Biesiady Literackiej stanowią siły doświadczone, pierwszorzędne. Na czele zastępu literackiego:

HENRYK SIENKIEWICZ

Dalszy ciąg powieści tego mistrza:

„Na polu chwały”

drukować będzie Biesiada w r. 1905 bez żadnej przerwy.

Wszyscy nowi prenumeratorowie Biesiady w r. 1905, otrzymają początek powieści *Na polu chwały*, drukowany w r. 1904, za dopłatą 45 kop.

Na Pamiątkę-premium w r. 1905 Biesiada wybrała **J. U. Niemcewicza**,

Śpiewy historyczne

w obrazach. Pierwszy obraz, wraz z tekstem śpiewu ozdobnym, otrzymają wszyscy całorocznymi prenumeratorowie **bezpłatnie**. Kompozycję wykona nasz znakomity batalista; kopia obrazu będzie również artystyczna, jak pamiątka-premium w r. 1904 „*Król Sobieski zwycięzca*” Juliusza Kossaka.

Uważamy za zbyt częste rozpisywanie się o zasobach Biesiady literackiej i artystycznej na r. 1905. Każda nowa praca będzie godną pisma, cieszącego się już lat przeszło 30-ści sympatją naszego społeczeństwa.

Biesiada Literacka * * *
z Wieczorami powieściowymi

w Warszawie:

Rocznie	rub. 6 kop. 50.
Półrocznie	„ 3 „ 25.
Kwartalnie	„ 1 „ 63.

Z przesyłką pocztową:

Rocznie	rub. 8 kop. —
Półrocznie	„ 4 „ —
Kwartalnie	„ 2 „ —

Adres: Ilustracja polska, Biesiada Literacka. Warszawa, Zgoda 7.

Redaktor i Wydawca **Władysław Maleszewski**.

INFORMATOR

Portfelowy, astronomiczno-geograficzny-statystyczny, rachunkowy, szkolny i ogólnoadresowy z mapką Królestwa Polskiego, oraz Kalendarzykiem, wyszedł świeżo z druku nakładem autora **Plato v. Reussnera** w II-jej edycji. — Ta mała broszurka, obejmująca 128 stron nie najdrobniejszego druku, w formacie 11 x 7 cm., dająca się wygodnie pomieścić w małym pugilaresie, może służyć wszystkim, a szczególnie **młodzieży szkolnej** za przewodnika i pomocnika nieocenionego. — **Cena kop. 25.** Czysty zysk przeznaczony autor na **wpis dla niezamożnych, a pilnych uczniów.** Główna sprzedawca w Księgarni **J. Fiszera, Nowy-Swiat № 9** w Warszawie.

GIMNASTYKA

wdzięku i układu dla młodych osób. W niedzielę lekcje tańca, Zakład Heleny Kuczalskiej Moniuszki 9.

Magazyn MÓD E. LOTH

Krakowskie Przedmieście Nr. 9 m. 4.

Zawiadania Sz. Klientele, że z d. 3-go Listopada rozpoczyna się

Wyprzedaż

po cenie kosztu wszystkich kapeluszy przygotowanych na sezon bieżący, która trwać będzie aż do całkowitego rozprzedania nagromadzonego towaru.

Poleca się również osobom interesowanym

Szkołę

Modniarstwa i Kwaciarsstwa

egzystującą przy tymże magazynie kurs 4-ro miesięczny Zapis nowowstępujących uczennic codziennie.

z przesyłką pocztową:

Rocznie	rb. 7 kop. —
Półrocznie	rb. 3 kop. 50
Kwartalnie	rb. 1 kop. 75
Miesięcznie	rb. — kop. 60
Za granicą miesięcznie	rb. 1 kop. 50

BRACIA JABŁKOWSCY

WARSZAWA, Bracka 23.

Polecają: _____

NOWOŚCI w Welnach czarnych, kostjumowych i wizytowych, Suknach, Sukienkach, Flanelach, Welwetach, Jedwabiach i Przybraniach

KRAJOWYCH i ZAGRANICZNYCH.

WYSYŁKA
PRÓB NA
PROWINCYĘ
BEZPŁATNA

NA GWIAZDKE



WELNY SUKNIOWE

po kop. 40, 45, 50 i wyżej.

PÓLWELNY SUKNIOWE i BLUZKOWE

po kop. 25, 30, 33, 40 i wyżej.

BARCZANY kolorowe w gustown. deseniach

po kop. 12, 13, 14, 15 i wyżej.

CHUSTKI do nosa: perkalowe, batystowe i płóciennie za pół tuz. kop. 33, 35, 43, 52, 67, 1.—, 1,25 i wyżej.

RĘCZNIKI bawełniane i lniane za pół tuz.

Rb.: 1.62, 1.74, 1.88, 2.14, 2.40 i wyżej.

KAPY pikowe białe i kolorowe za 1 szt. Rb.: 1.60, 2.25, 2.40, 2.70 i wyżej.

MADAPOLAMY za pół szt. (25 ar.) Rb.: 4, 4.38, 4.50, 5.08, 5.18 i wyżej.

PÓLPLÓTNA za pół szt. (24 -25 ar.) Rb.: 3.78, 4.12, 4.28, 4.33, 4.60 i wyżej.

PRZEŚCIERADŁA bawełniane za pół tuz. Rb.: 5.45, 5.70.

PLÓTNA Jarosławskie za pół szt. (24 ar.) Rb.: 7.85, 8.65, 9.25, 10.00 i wyżej.

BIELIZNA stołowa biała i kolorowa od cen najniższych.

CHUSTKI wełniane duże i ciepłe za 1 szt. Rb.: 1.85, 1.95, 2.30, 2.60, 2.70, 2.90, 3.20, 3.75 i wyżej.

CHUSTKI wełniane podwójne (pledowe) b. ciepłe za 1 szt. 3.80, 4.—, 4.20, 4.40, 4.60, 5.— i wyżej.

CHUSTKI wełniane dziecinne i na głowę za 1 szt. kop.: 65, 70, 75, 80, 95, 1.—, 1.20.

FARTUSZKI gospodarskie i strojne za 1 szt. kop.: 45, 55, 65, 75, 85 i wyżej.



Fosfatyna Faliere,

przyjemny pokarm najodpowiedniejszy dla dzieci od 6 miesięcy do 10 lat, zwłaszcza w czasie odłączania od piersi i w okresie rosnienia. *Ułatwia żabkowanie i zapewnia prawidłowy rozwój kości.*

Sprzedż w składach aptecznych i aptekach.

BIURO NAUCZYCIELSKIE

JABŁKOWSKIEJ

Warszawa, Marszałkowska 118

poleca: nauczycielki, bony, cudzoziemki.

BIURO NAUCZYCIELSKIE

GRETILLAT

Ś-to Krzyżka 15.

Poleca: nauczycielki, bony cudzoziemki, gospodynie, panny służące.

Sklep

TERESY WILKOŃSKIEJ

przeniesiony został z Chmielnej 25 na Marszałkowską 92 i poleca oprócz guń, sukmanek, serdaków i t. p. od września nowo otworzony dział tanich ubranek dziecinnych.

Towarz. Udoskonalonej Perfumeryi
A. RALLET & Co

Dostawcy Dworu

WARSZAWA, UL. WIERZBOWA № 7.

Poleca:

Perfumy,
Mydła i
Wodę Kolonjską

„WRZOS“

Do nabycia w Perfumeryach i Skł. Aptecznych.

Źródłem siły dla wszystkich osłabionych,

wycieńczonych, zdenerwowanych, pozbawionych energii skutkiem przepracowania umysłowego lub fizycznego, jak również i dla tych, których choroby wyniszczające i silne wstrząśnienia moralne pozbawiły odporności — jest

SANATOGEN BAUERA

zaszczycony świadectwami przeszło 2000 lekarzy wszystkich krajów kulturalnych.

Prawdziwy tylko Bauera i S-ki w opakowaniu rosyjskiem. Wstrzegać się bezwartościowych naśladownictw. Broszury na żądanie wysyła bezpłatnie S. Karczewski, ul. Nowo-Senatorska No. 4 w Warszawie.

DLA OSZCZĘDNYCH PAŃ!

Otworzyłam Zakład Krawiecko-Reperacyjny. Najstaranniej przerabiam, reperuję, poprawiam suknie, zle skrojone okrycia, futra, krój francuski, pióró chemicznie, farbuje, przerabiam kapelusze.

„HELENA“, Marszałkowska 119, m. 8.

Samofarbujące grzebienie

„FOR“

farbują włosy we wszelkie nie zmywające się kolory, a potem można je farbować i karbować. Grzebień zupełnie nieszkodliwy. Przesyła za zaliczeniem. Sztuka rb. 2 kop. 50.



J. FRANCUZ, Warszawa, Królewska 49.



Konkursowy Antigorget Platinum

odznaczony I-szą nagrodą i listem pochwalnym na konkursie „DOBREJ GOSPODYNI“ 1904 r. i uznany przez komitet konkursowy za odpowiadający wszelkim wymaganiom higieny i estetyki, poleca w różnych kolorach po cenach możliwie umiarkowanych jako to: Drill rb. 4 kop. 85: batystowy rb. 6 koy. 50; tiulowy rb. 7; batystowy jedw. w deseń rb. 9.

SPECJALNA FABRYKA

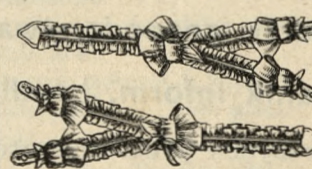
GORSETÓW NIESZKODLIWYCH „HIGIENA“

Warszawa, — Senatorska Nr. 32.

Zlecenia zamiejscowe wysyłamy akuratanie za zalicz. pocztowem doliczając za przesyłkę 50 kop.

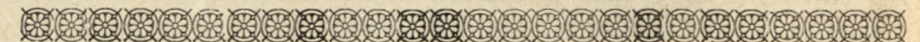
Przy zamawianiu trzech lub więcej sztuk przesyłka na nasz koszt, — Do obstatunku należy dołączyć miarę w jednym z niżej wymienionych sposobów: A, B lub C. Sposób A) numer noszonego gorsetu; Sposób B) wymiar szerokości jednej połowy noszonego gorsetu; w piersiach, talji i biodrach i Sposób C) pełny obwód biustu, mierząc będąc ubraną w staniku — wokoło pod pachami na piersiach, obwód talji i bioder, mierząc również wokoło na staniku i wysokość boku od pach do talji, nie dodając ani ujmując.

Gorsety życzeniu nie odpowiadające zamieniamy na nasz koszt.



Podwiązki higieniczne

po 50, 75 k. i rb. 1.25.



Herman & Grossman

Warszawa,

Mazowiecka

Nr. 16.

Telefon 555.

Fortepiany, fabryk krajowych i zagranicznych
Pianina i Organy w wielkim wyborze

Petersburg
Moskwa.

SPRZEDAŻ NA ROZPŁATY MIESIĘCZNE
PO 25 RUBLI.

WYNAJEM WYBOROWYCH INSTRUMENTÓW.



ANGELUS — ORCHESTRAL
PIANINA
„CROWN“ — „SYMPHONY“

Cenniki ilustrow. gratis.

Wydawca: Piotr Laskauer. — Redaktor: Maryan Gawalewicz.

Дозволено Цензурою. Варшава, 12 Ноября 1904 г.

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Nowy-Świat 41.